

Józef Rogowski

Moje wspomnienia ze studiów na Politechnice Wrocławskiej

Pisząc wspomnienia ze studiów na Politechnice Wrocławskiej, jak pierwszym studentom wiadomo, nasza uczelnia początkowo miała nazwę Uniwersytet i Politechnika Wrocławska.

Istnieje obiegowa opinia, że Politechnika Wrocławska jest kontynuatorką Politechniki Lwowskiej. „*Politechnika Wrocławska swoimi korzeniami mocno tkwi w Politechnice Lwowskiej*”- w tym powiedzeniu jest zawarta szeroka rzeczywistość. Rzeczywistość jest taka, że wraz z profesorami w 1945 roku do Wrocławia przybyła również pewna grupa studentów Politechniki Lwowskiej, która w latach jesień 1941- marzec 1944 funkcjonowała pod szyldem Szkoły Technicznej zlokalizowanej przy ul. Akademickiej 8. Ten okres był ostatnim funkcjonowania we Lwowie przed exodusem w 1945 roku do polskiego Wrocławia.

Mając na uwadze ten fakt, moje wspomnienia ze studiów na Politechnice Wrocławskiej zaczynam od studiów w latach 1941-1944 na Politechnice Lwowskiej, jako tej uczelni, która później w roku 1945 znalazła się we Wrocławiu.

Szkoła Techniczna we Lwowie została uruchomiona przez profesora Klaudiusza Filasiewicza w 1941 roku w jesieni, formalnie jako Technikum Elektromechaniczne, bo tylko taką zgodę wyrazili Niemcy.

Faktycznie nauczanie tam było prowadzone według programów Politechniki. Profesor K. Filasiewicz na Politechnice Lwowskiej wykładał metaloznawstwo i ten sam przedmiot prowadził w powstałej Szkole Technicznej. Zajęcia w Technikum prowadzili również inni profesorowie z Politechniki.

Program nauczania w tej szkole przypomina późniejszy program na Politechnice Wrocławskiej. Wykłady w tej szkole rozpoczęły się jesienią w 1941 roku, a zostały przerwane działaniami wojennymi w końcu marca 1944 roku.

W szkole tej jako pierwszy, w pewnym sensie pilotażowy, został uruchomiony wydział elektromechaniczny z założeniem, że rozdział nastąpi w późniejszym okresie. Budynek w którym mieściła się szkoła był dużym budynkiem wyposażonym w obszerne sale wykładowe z wyjątkiem laboratoriów. Laboratoria były w stanie szczątkowym. Pewnym wypełnieniem luki braku laboratoriów, była obowiązkowa praca studentów w soboty i niedziele w samochodowych warsztatach Opla przy remoncie samochodów dla potrzeb armii.

Praca w warsztatach Opla była warunkiem udzielenia przez władze niemieckie zgody na uruchomienie wnioskowanej przez profesora Filasiewicza Szkoły Technicznej. Nasza praca w

warsztatach Opla była obowiązkowa i bezpłatna. Warto tu zaznaczyć, że w czasie naszej pracy mimo wojny w tych warsztatach było bardzo dobre zabezpieczenie w potrzebne części zamienne, narzędzia pracy i potrzebne materiały.

Po przyjeździe do zakładów Opla zostaliśmy podzieleni na grupy i skierowani do specjalistycznych stanowisk pracy. Ja z grupą kolegów zostałem przydzielony do zespołu, który zajmował się montażem skrzyń biegów. Inni koledzy (jeżeli dobrze pamiętam m.in. Janusz Zipser) przydzieleni zostali do montażu silników. W początkowym okresie zarówno my jak i koledzy pracujący w dziale silnikowym sypaliśmy do naszych wyrobów piasek. Po zauważeniu tego procederu przez mistrza (Polaka) i zagrożeniu nam, że doniesie o tym Niemcom, zaprzestaliśmy tej działalności.

Ta organizacja studiów, to znaczy pięć dni wykłady i dwa dni pracy w warsztatach, była męcząca i mieliśmy problemy z wykonywaniem zadawanych nam prac domowych. Oczywiście nie wykazywaliśmy niezadowolenia, bo nauka była bezpłatna, a profesorowie też pracowali nie otrzymując za swoją pracę wynagrodzenia.

Uważam, że mieliśmy szczęście mając tak wspaniałych nauczycieli, a przy tym były to osoby, które swoim postępowaniem przy każdej okazji podkreślały wielki patriotyzm i ukochanie swojego Lwowa.

Może dla zobrazowania postaw naszych profesorów niech posłuży mało znaczący fragment z nieczęsto prowadzonych rozmów między profesorem a studentami.

W czasie jednej z takich przerw zapytaliśmy jednego z wykładowców, a był nim prof. Huber (wykładał wytrzymałość materiałów), o to jaki jest dla panów profesorów interes, co powoduje, że zdecydowali się pracować w tej właśnie szkole, dlaczego panowie profesorowie pracują za darmo, nie otrzymując dodatkowych kartek żywnościowych narażając się jednocześnie na różne represje i sankcje z karą śmierci włącznie. Profesor odpowiedział: (...) powodów jest dużo choćby to, że są prowadzone zajęcia niezgodnie z wytycznymi władz niemieckich, ponieważ władze niemieckie wydały zgodę na uruchomienie technikum, a nie politechniki. Innym groźniejszym jeszcze zagrożeniem dla panów profesorów i studentów było to, że wszyscy studencki należeli do AK, a dwóch naszych kolegów było w oddziale specjalnym i wykonywali wyroki śmierci. Prof. Tytus Huber po krótkim namyśle, modulując ładnie głos, powiedział: moi drodzy dla nas największą nagrodą jest to, że możemy w polskim Lwowie uczyć polską młodzież.

Ponadto, aby należycie ocenić tę wypowiedź należałoby ją umiejscowić w czasie, a był to może koniec roku 1942 lub początek 1943, kiedy nie tak dawno miało miejsce zorganizowane przez nacjonalistów ukraińskich rozstrzelanie na Wzgórzach Wóleckich dużej części profesorów

uczelni lwowskich. Mimo działań okupantów niemieckich i współpracujących z nimi nacjonalistów ukraińskich ta część polskich profesorów uczelni lwowskich, której udało się uciec przed rozstrzelaniem, nie wyrzekła się swojej polskości i miłości ojczyzny – Lwowa, dając tym zasadom wyraz codziennym postępowaniem.

Takim przykładem, który można odnieść do każdego z lwowskich profesorów, może być choćby prof. Kazimierz Bartel. Prof. Bartel wkrótce po wkroczeniu Niemców w 1941 roku do Lwowa został aresztowany przez gestapowców. Po około trzech tygodniach bezskutecznego nakłaniania prof. Bartla przez gestapowców, aby stanął na czele polskiego rządu współpracującego z Niemcami, po odmowie tej współpracy został rozstrzelany.

To rozstrzelanie profesorów lwowskich w 1941 roku na Wzgórzach Wóleckich odbiło się echem w czasie Zjazdu Pierwszych Słuchaczy Politechniki Wrocławskiej we Wrocławiu 12 czerwca 2010 roku. W czasie tego zjazdu przy składaniu wieńców pod pomnikiem profesorów na Placu Grunwaldzkim padły słuszne słowa, że pomordowani profesorowie w 1941 roku wzięliby udział w reaktywowaniu uczelni lwowskich w polskim Wrocławiu.

Pragnę tu podkreślić, że mimo ciągłych i niestety bardzo realnych zagrożeń czego dowodem był mord na Wzgórzach Wóleckich byliśmy świadkami godnej najwyższego szacunku postawy naszych wykładowców, którzy nie bacząc na istniejące zagrożenia prowadzili swoje zajęcia by uczyć w polskim Lwowie polską młodzież.

Zajęcia w Technikum we Lwowie na skutek działań wojennych zostały przerwane w marcu 1944 roku. Po różnych poniewierkach, w sierpniu 1945 roku znalazłem się w pociągu, który zbliżał się do Wrocławia. Jeszcze trawiłem incydent jaki mnie spotkał w Toruniu na dziedzińcu Uniwersytetu, gdzie po zapisaniu się na fizykę jakiś działacz młodzieżowy zaproponował mi, że jak się zapiszę do Związku Młodzieży Wiejskiej Wici, otrzymam stypendium na czas studiów i mieszkanie w akademiku. To stało się wystarczającym powodem, że zrezygnowałem ze studiów w Toruniu. Ja jeszcze głęboko tkwiłem w przedwojennej Polsce, tej kresowej Polsce. Nie zdawałem sobie sprawy, że to była pierwsza jaskółka, pierwszy sygnał nadchodzących ponurych czasów, które mają się nijak do naszych oczekiwań związanych z zakończeniem wojny.

Moja aktualna sytuacja w pewnym stopniu była już nieco lepsza. Odnaleźli się moi rodzice. Z rodziną rozstałem się po ostatnich Świątach Bożego Narodzenia, które miałem szczęście spędzić z moimi rodzicami w Antoszewie w 1943 roku i dopiero przed paroma dniami w sierpniu 1945 roku spotkałem się z nimi w Lesznie. Towarzyszyła temu duża radość, że rodzice żyją.

Zbliżając się po raz pierwszy do Wrocławia dokładnie obmyślałem plan działania, którego głównym celem było zorientowanie się w możliwościach studiów na Politechnice Wrocławskiej.

Po znalezieniu się we Wrocławiu, zapoznaniu się z miastem i po zlokalizowaniu załączków organizacyjnych politechniki, obejrzeniu gmachu głównego, zacząłem myśleć o organizacji jakiegoś mieszkania. Analizując różne warianty, a miałem ich co najmniej trzy, dzierżąc w ręce swoją skromną walizkę znalazłem się na przystanku tramwajowym na wprost Akademii Medycznej. W trakcie tych moich rozważań podeszło do mnie dwóch studentów. Jak się później okazało byli to studenci po trzecim roku Akademii Medycznej we Lwowie mieszkańcy Przemyśla. Jeden z nich wyraził przypuszczenie, że mogę mieć problem z noclegiem, a oni dysponują jednym wolnym pokojem i chętnie przyjmą porządnego lokatora.

Po nieco bliższym zapoznaniu się i wymianie zdań wsiedliśmy w tramwaj i po kilkunastu minutach znaleźliśmy się przy ulicy Emilii Plater, na bliskim Biskupinie nie daleko instytutu prof. Kosiby. Ulica ładna, jednopiętrowe domki i żadnych śladów wojny. Drzwi otworzyła nam starsza siwa pani Niemka. Okazała zadowolenie, że nareszcie znalazł się lokator, który zna język niemiecki. Mieszkaliśmy tam do 1946 roku do momentu wyjazdu Niemców z Wrocławia. Po wyjeździe naszej właścicielki przyszedł jakiś pan z pismem od kwaterunku, że to lokum zostało przyznane właśnie jemu. Po paru dniach opuściliśmy to nasze mieszkanie. Ja dostałem mieszkanie w domach akademickich przy ulicy Kotsisa, a moi współmieszkańcy na ulicy Stanisławskiego. Przy ulicy Kotsisa dostałem w spadku studenta Antka Sosnowskiego, którego utrzymywałem aż do końca jego studiów. Był autentycznie biedny. Po studiach Antek wyemigrował do Kanady.

Łaskawy los zrządził, że danym mi było uczestniczyć w reaktywowaniu założonej „hen daleko” na zachodzie uczelni zwanej już nie Technikum ale oficjalnie Politechniką. Nasz ból towarzyszący nam bezustannie po utracie swych rodzinnych stron i rozłąki z najbliższymi łagodził fakt, że na każdym kroku słyszało się mowę polską, spotykało się wypędzonych rodaków, takich samych rozbitków życiowych pozbawionych swojej ojczyzny. Dodatkowym elementem budzącym otuchę był fakt pojawiania się coraz większej ilości profesorów przyjeżdżających ze Lwowa.

Trochę inaczej przedstawiała się sprawa pochodzenia studentów. Profesorowie jak wyżej było powiedziane w zasadzie pochodzili ze Lwowa lub kresów południowo-wschodnich, natomiast studenci biorąc za podstawę oceny miejsce pochodzenia stanowili pewnego rodzaju mozaikę.

Oczywiście większość stanowili Lwowiacy i Kresowiaci, ale również dała się zauważyć wyróżniająca się grupa z Wileńszczyzny (zwanych Wilniukami) i była również pewna ilość osób z różnych stron Polski. Ale oceniając procentowo pochodzenie profesorów, którzy znaleźli się we Wrocławiu, można z wielkim prawdopodobieństwem określić, że Politechnika Wrocławska została obsadzona w 95% przez profesorów wywodzących się z Politechniki Lwowskiej.

Analizując tę sprawę liczbowo, to na pewno tych profesorów na politechnice i innych uczelniach byłoby więcej, gdyby nie okrutny fakt, że w lipcu 1941 roku ci profesorowie we Lwowie zostali wymordowani.

Z przykrością i żalem jeszcze raz należy tu podkreślić, że był to mord wykonany przez hitlerowców, którzy pełnili rolę narzędzia mordu, a faktycznymi sprawcami byli ponad wszelką wątpliwość nacjonaści ukraińscy.

Omawiając sprawę aktualnej obsady personalnej uczelni wrocławskich trzeba wspomnieć, że były próby podjęcia pracy na politechnice przez profesorów fizyków z Wilna, a byli to profesorowie: Loria i Niewodniczański. Żaden z tych profesorów nie został we Wrocławiu długo. Prof. Loria po pół roku wyemigrował do Stanów, a prof. Niewodniczański po około roku przeniósł się do Krakowa. Być może odstraszył panów profesorów widok bardzo zniszczonego miasta.

Rzeczywiście pierwsze wrażenie z Wrocławia, to okrutnie zniszczone miasto. Zniszczenia były tak wszechobecne, że np. przejściem przez Odrę w kierunku Placu Grunwaldzkiego był nie wiszący most, ale drewniana kładka częściowo zanurzona w wodzie.

Jednak mimo tych zniszczeń bardzo miłe wrażenie robiła duża ilość zieleni, wszechobecne kwiaty, przecinające miasto liczne otoczone zielenią, napełnione wodą kanały, dobrze kursujące tramwaje, którymi można było wszędzie dojechać i szczególnie rzucająca się w oczy duża ilość zegarów, chyba na każdym przystanku tramwajowym. Spotykana na niemalże każdym kroku młodzież w czapkach akademickich była niejako symbolem, że jest to miasto wyższych uczelni. A należy tu jeszcze podkreślić, że mimo przeogromnych zniszczeń Wrocław nie stracił swojego uroku. Każdy, kto znalazł się wtedy w tym pełnym gruzów Wrocławiu, musiał przyznać, że to jest piękne miasto. Patrząc na te zniszczenia zdawaliśmy sobie sprawę, że dotknęły one również, co prawda w mniejszym stopniu, politechnikę. Zniszczenia te uświadomiły nam jaki ogrom pracy trzeba wykonać przed przewidywanym jesiennym terminem uruchomienia uczelni.

Dodatkowym zadaniem była konieczność ochrony politechniki, przed różnego rodzaju szabrownikami zarówno cywilnymi jak i wojskowymi. Obowiązki strzeżenia politechniki pełniła bardzo dobrze zorganizowana z przybyłych studentów Straż Akademicka. Dla wykonania prac

związanych z przygotowaniem obiektów niezbędnych do normalnego funkcjonowania uczelni tworzono zespoły robocze wykonujące konieczne prace w tych obiektach.

Bardzo szybko zorganizował się zespół do prac mających na celu przygotowanie laboratorium fizyki. Mnie do tego zespołu zaangażował Roman Superat, ja natomiast zaangażowałem Ludwika Piskozuba i Jana Łopuszczańkiego i chyba Przemysława Rybkę. Do pomocy mieliśmy jeszcze laboranta Podniałę. Kierownikiem laboratorium była pani mgr Jelonkowa a kierownikiem Katedry Fizyki prof. Jan Nikliborc.

Niezależnie od zasadniczej mojej pracy jaką było przygotowanie laboratorium fizycznego, sporadycznie były wydawane nam inne polecenia mające związek z uruchomieniem działalności politechniki.

Jednym z takich poleceń, których inicjatorem był AZS, było wysłanie mnie w ramach dwu a może trzyosobowej delegacji do Żagania. Dali nam ciężarowy samochód, mieliśmy ewentualnie przywieźć łodzie lub kajaki jako sprzęt zawodniczy i rozeznaczyć, czy są tam jakieś żagłówki.

Ten mój wyjazd w sprawie sportowego sprzętu wioślarskiego zaowocował moim zainteresowaniem tym sportem i przez dwa lata brałem udział ośmioosobowych łodziach wioślarskich. Przez dwa lata nasza ósemka była najlepsza. Po dwóch latach ze względu na brak czasu na treningi, ósemka nasza przestała istnieć. Ale poniżej dla pamięci podaję skład naszej ósemki:

Henryk Biernacki, Jerzy Kostecki, Bolesław Leligdowicz, Eugeniusz Młotkowski, Stefan Mrowiec – sternik, Józef Rogowski, Stanisław Romaniuk, Jan Trzęsimiech, Zbigniew Zwoliński.

Ja jako najlżejszy siedziałem na nosku naprzeciw sternika Stefana Mrowca.

Innym zadaniem jakie otrzymałem było wysłanie przez Bratniak (prezesem Bratniaka był wtedy Stefan Bortkiewicz) razem ze mną cztero- lub pięcioosobowej grupy, częściowo uzbrojonej, do Oporowa. Zadaniem naszym było przez jakiś okres pilnowanie przed szabrownikami opuszczonych wytypowanych domów. Domy te mogły być przeznaczone do zamieszkania przez studentów lub do jakiś innych celów. Na szczęście projekt ten bardzo szybko upadł, głównie ze względu na dużą odległość od uczelni i braku komunikacji. Z takiego obrotu sprawy byłem zadowolony bo wiedziałem, że w laboratorium czeka mnie dużo pracy. Z radością wróciłem do gmachu głównego aby kontynuować dalsze prace przy urządzaniu laboratoriów. A muszę przyznać, że mimo tego, że pracy było bardzo dużo, polubiłem tą pracę.

Dla podkreślenia wielkiej wagi laboratoriów fizyki, trzeba sobie uświadomić ogromny zasięg usług jakie to laboratorium miało świadczyć. Znajdujące się laboratoria fizyki w głównym gmachu politechniki zostały przeznaczone do służenia studentom na wszystkich wydziałach

politechniki, wydziałach akademii medycznej, wydziale nauk przyrodniczych i fizyce uniwersyteckiej.

W jesieni 1945 roku miał miejsce pierwszy wykład inauguracyjny rozpoczynający zajęcia na Uniwersytecie i Politechnice Wrocławskiej. Wykładem Kazimierza Idaszewskiego nastąpiło faktyczne rozpoczęcie studiów na Politechnice Wrocławskiej. Ja już znowu jako student Wydziału Elektromechanicznego na Uniwersytecie i Politechnice Wrocławskiej zostałem zaangażowany do pracy w laboratorium fizyki. Zaczynałem jako wolontariusz, później młodszy asystent, asystent, starszy asystent. Używam słów -znowu jako student- ponieważ wcześniej byłem studentem we Lwowie. Tak też stałem się pracownikiem Uniwersytetu i Politechniki Wrocławskiej.

W pewnym sensie miałem bardzo wygodną sytuację. Z jednej strony było laboratorium, gdzie istniała pilna potrzeba w sensie godzinowym bardzo dużego zaangażowania się w prowadzenie ćwiczeń laboratoryjnych, natomiast z drugiej strony mogłem tej pracy poświęcić dużo czasu. Było to wynikiem moich studiów we Lwowie, które w początkowych latach pokrywały się ze studiami we Wrocławiu i dzięki temu mogłem dużo czasu poświęcić pracy w laboratorium.

W jesieni 1945 po jednym z ćwiczeń z geometrii wykreślnej, na które ze względu na odrobienie tego przedmiotu we Lwowie nie często uczęszczałem, asystent prowadzący ćwiczenia, dr inż. Władysław Cisek, zatrzymał mnie po ćwiczeniach i zaproponował mi przystąpienie do nielegalnej organizacji Młodzież Wielkiej Polski – młodzieżowe ramię NSZ. Proponując przystąpienie do tej organizacji dr inż. Cisek zapoznał mnie z zagrożeniem, ale uzasadniając tę propozycję powiedział, że jej zasadniczym celem jest wolna Polska wraz z obecnie zabranymi Kresami Wschodnimi. Przedstawiona idea mnie w pełni odpowiadała bo przecież przez całą okupację już od końca września 1939 roku należałem początkowo do ZWZ a później do AK. Po wyrażeniu zgody zostałem zaprzysiężony i mianowany kierownikiem oddziału Wrocław Północ. Zachowałem ten sam pseudonim jaki miałem w AK, dr Władysław Cisek był kierownikiem okręgu Dolny Śląsk. Dr Władysław Cisek mógł się też poszczycić wspaniałym życiorysem. Ukończył na rok przed wojną Wydział Mechaniczny Politechniki Lwowskiej, został asystentem z geometrii wykreślnej u prof. Bartla, walczył w 1939 r. przeciwko Niemcom, w czasie okupacji był cały czas żołnierzem AK.

W zimie 1946 roku Bolek Kochanowski zorganizował uczelniany klub szybowcowy i po krótkim teoretycznym przeszkoleniu, zdaniu odpowiedniego egzaminu w czasie wielkanocnej przerwy, wyjechaliśmy do Grunowa koło Jeleniej Góry na szkolenie praktyczne, czyli latanie.

Kierownikami praktycznego kursu byli dr inż. Pełowski i Kochanowski. Bolek Kochanowski był już bardzo zaawansowanym pilotem i miał spełnione dwa warunki do osiągnięcia kategorii „D” złotego. Dla osiągnięcia kategorii D złotego były wymagane trzy warunki. Tymi warunkami były: odpowiednia wysokość, wymagana ilość godzin utrzymania się w powietrzu i wymagana odległość przelotu mierzona w kilometrach.

W roku 1947 po próbie ucieczki jednego z pilotów szybowcowych władze PRL-u zarządziły weryfikację wszystkich pilotów i w wyniku tej weryfikacji dużo kolegów, a wśród nich również i ja, przestali uprawiać ten bardzo atrakcyjny i przyjemny sport.

Muszę przyznać, że ta sytuacja była dla mnie korzystna. Byłem już starszym asystentem, zarabiałem dobrze, co było szczególnie ważne ponieważ mogłem pomagać rodzicom, skończyłem przejściowe prace i wszystko wskazywało, że niedługo już zrobię pracę dyplomową i dalej snułem już plany pracy na mojej politechnice.

Przyszła tragiczna jesień 1948 roku. W październiku został aresztowany asystent dr Władysław Cisek, a w końcu listopada rozstrzelany. Nikogo nie wydał. Jak się wyraził Stefan Bortkiewicz „zginął wielki patriota naukowiec”. Był bardzo potrzebny Polsce. O tym wydarzeniu mówi też w swojej książce Norman Davis.

Najwartościowszych Polaków niszczyli nie tylko sowieci i Niemcy, ale niestety i nasi rodacy. Dr inż. Władysław Cisek jest tego przykładem, a mógł być kontynuatorem prac profesora Kazimierza Bartla rozstrzelanego w 1941 roku we Lwowie.

Po wykonaniu obu przejściówek pobrałem pracę dyplomową z zamiarem jak najszybszego jej ukończenia. Ale jak to niektórzy mówią -planowanie jest to czas stracony- i niestety miało się to sprawdzić w moim przypadku.

Jesienią 1949 roku przyjechała do Wrocławia, do naszej uczelni, przedstawicielka Ministerstwa Szkolnictwa niejaka pani Krasowska, aby wybrać z każdego wydziału kilku kandydatów na inżynierów, a jeszcze chętniej inżynierów do pracy w przedsiębiorstwach pracujących na rzecz wojska. Wertując w dokumentach wybrała z naszego wydziału czterech mechaników tj.: Romana Kolmana, Stanisława Romana, Romana Węgrzyna i niestety również i mnie. Mimo moich usilnych starań, pisma kierownika Katedry Fizyki prof. Jana Nikliborca jako mojego przełożonego, zaświadczenia z dziekanatu, że aktualnie kończę pracę dyplomową jak i mojego bardzo szczegółowego pisma, wszystkie te starania niestety nie odniosły żadnego skutku.

W marcu 1950 roku wszyscy znaleźliśmy się w Pile w oficerskiej szkole samochodowej na przeszkoleniu wojskowym. Po przeszkoleniu tym razem udało mi się dostać skierowanie do

pracy we Wrocławiu. Było to dla mnie bardzo ważne, ze względu na możliwość kończenia studiów. Przydzielono mnie do pracy w Wojskowych Zakładach Motoryzacyjnych WZM4. Nastąpiło moje pierwsze zderzenie z przemysłem w PRL, a drugie w moim życiu – pierwsze miało miejsce też w zakładach motoryzacyjnych w ramach obowiązkowej pracy w zakładach Opla we Lwowie.

Wrocławskie zakłady motoryzacyjne do których zostałem przydzielony zajmował się remontem samochodów Dodge 3/4D uzyskiwanych z demobilu armii oraz produkcją prototypów przeznaczonych do wykonywania różnych zadań armii.

Tymi prototypami to były na przykład ładowanie akumulatorów, ruchome zakłady obróbki wiórowej, regulacji gaźników itp. Ta część produkcji była oparta na współpracy z nieznaną mi firmą zagraniczną w ZSRR. Współpraca ta polegała na tym, że nasz zakład otrzymywał z ZSRR założenia określonego prototypu oczywiście w języku rosyjskim, nasz zakład wykonywał na podstawie tych założeń dokumentację produkcyjną i w oparciu o tą dokumentację wykonywaliśmy prototyp, który po zewnętrznym odbiorze wraz z dokumentacją wyjeżdżał z zakładów WZM4.

Po około dwumiesięcznej pracy w biurze konstrukcyjnym zostałem przez dyrektora technicznego zakładów WZM4 inż. Stankiewicza mianowany kierownikiem biura konstrukcyjnego i prototypowni. Zostałem mianowany na stanowisko wymagające kwalifikacji inżynierskich mimo, że nie byłem jeszcze inżynierem. Był to niewątpliwie dla mnie awans uwzględniając to, że nie miałem jeszcze dyplomu inżyniera i to, że ta nominacja nastąpiła po tak krótkim czasie mojej pracy w WZM4.

Właściwie wojska nie lubiłem, byłem jednak z pracy zadowolony, bo potrafiłem rozwiązywać różne często bardzo trudne problemy konstrukcyjne i produkcyjne.

Dla przykładu mogę podać, zdawałoby się proste, zadanie jakie stanęło przed nami. Zadaniem tym było wykonanie tłoka do remontowanego silnika Dodge 3/4D. Zaopatrzenie tym razem nie dostarczyło nam specjalnych tłoków przeznaczonych specjalnie do samochodów Dodge 3/4. Korzystając z odległego czasu jaki był przeznaczony na remont tego Dodge-a, po kilku próbach z naszymi odlewnikami, wykonaliśmy odpowiednie tłoki. Z pełną satysfakcją uruchomiono samochód po remoncie z naszymi tłokami. Samochód został przez jednostkę wojskową odebrany i nie było reklamacji. Była to niewątpliwie zasługa mojej uczelni Politechniki Wrocławskiej, która zaopatrzyła mnie w wiedzę bardzo przydatną w późniejszym życiu.

Jak się trochę oswoiłem z sytuacją w jakiej się znalazłem w związku z wcieleniem mnie do służby wojskowej, po przemyśleniach zdecydowałem się, że mimo zadowolenia z pracy w tym zakładzie produkcyjnym moim głównym celem jest praca na politechnice. Aby ten cel osiągnąć musiałem wpierw skończyć studia, a później w jakiś sposób uzyskać zwolnienie z wojska. Ukończyłem więc możliwie jak najszybciej moją pracę dyplomowa i po pomyślnej jej obronie zostałem magistrem inżynierem.

Analizując wyróżniające się zdarzenia w moim życiu, to mimo woli wyłania się trochę ciekawe podobieństwo tych wydarzeń.

Pierwszą moją pracą w zakładach mechanicznych była praca w zakładach samochodowych Opla we Lwowie i zostałem tam przydzielony na stanowisko remontujące skrzynie biegów. Zakłady Opla pracowały dla potrzeb armii niemieckiej. Był to rok 1941. W roku 1951 we Wrocławiu zostałem przydzielony do pracy w zakładach samochodowych WZM4 pracujących dla potrzeb armii. Tytuł mojej pracy dyplomowej który otrzymuję na Politechnice Wrocławskiej brzmi: Hydrodynamiczna skrzynia biegów.

Podsumowując te fakty: Mamy rok 1941, pierwsza praca zakłady Opla, pracuję dla potrzeb armii, moja praca to praca przy skrzyniach biegów. Rok 1951 Wrocław, pierwsza praca to zakłady samochodowe WZM4, pracując dla wojska otrzymuję temat pracy dyplomowej: hydrauliczna skrzynia biegów.

Jak rozważam tę sprawę wcielenia mnie do wojska to myślę, że moja wcześniejsza praca w zakładach Opla mogła mieć jakiś wpływ na moje wcielenie do wojska.

Teraz mając już tytuł magistra inżyniera, aby starać się o pracę na politechnice musiałem się wpierw zwolnić z wojska. Po moich usilnych różnego rodzaju działaniach, po około trzech miesiącach zostałem z wojska zwolniony. Po odejściu z wojska niemalże natychmiast udałem się na politechnikę aby zorientować się w możliwościach zatrudnienia. Będąc na politechnice w holu głównym spotkałem doc. Jerzego Teyserye. Po krótkiej rozmowie pan docent zaproponował mi pracę w Katedrze Silników Spalinowych. Sądzę, że pewien wpływ na tę propozycję mogła mieć moja praca przejściowa z silników spalinowych, a konsultantem był docent Andrzej. Propozycję pracy pana docenta przyjąłem z radością i zacząłem od razu pracę w Katedrze Silników Spalinowych. Miałem dobrą pensję, samodzielny pokój i temat pracy który mógł być wstępem do pracy doktorskiej z panem docentem jako promotorem.

Po około trzech tygodniach przyszło do naszej katedry z kadr politechniki pismo, że jestem zwolniony ze skutkiem natychmiastowym i nie wolno mnie nigdzie zatrudnić. Jako powód podano, że odszedłem z pracy z WZM4 ze szkodą dla armii.

Wychodząc z tym pismem z politechniki spotkałem dyr. Sikorskiego, który odrabiał u mnie ćwiczenia w laboratorium fizyki. Widząc moją zmartwioną minę, po zorientowaniu się w mojej sytuacji, zatrudnił mnie u siebie na stanowisku głównego projektanta w Biurze Projektów łączności, którego był dyrektorem. Mimo że miałem pracę i to dobrze płatną, a ponieważ nie wiedziałem kto był inicjatorem „zwolnienia mnie ze skutkiem natychmiastowym” z pracy na politechnice, miałem obawę, że dyr. Sikorski również zostanie zmuszony do tego aby mnie zwolnić. Sądziłem, i to jak się okazało po wielu latach słusznie, że prześladowca był we Wrocławiu.

Jako świeżo upieczony inżynier zgłosiłem się więc niemalże natychmiast, zgodnie z obowiązującą procedurą, do Uczelnianego Pośrednictwa Pracy aby otrzymać nakaz pracy. Dostałem nakaz pracy kierujący mnie do pracy w Hucie Warszawa. Oczywiście nakaz pracy przyjąłem z zadowoleniem bo uważałem, że trzeba uciekać jak najdalej od tajemniczego prześladowcy. Mimo tego ogarnął mnie wielki żal, że musiałem wyjeżdżać z miasta, w którym miałem zamiar zostać na stałe. Obawiałem się, że już do Wrocławia do pracy na Politechnice Wrocławskiej nie wrócę. Jak życie pokazało, moje przypuszczenia się sprawdziły. Z wielkim żalem, po raz drugi w moim życiu, musiałem opuścić moją uczelnię i moje miasto do którego się przyzwyczaiłem. Po wielu latach, bo dopiero w 2008 roku, dowiedziałem się od mojego długoletniego przyjaciela Edwarda Suchardy kto był sprawcą mojego wyrzucenia z pracy na Politechnice Wrocławskiej.

Moja myśl pracy na uczelni na razie się mocno odwlekała. W Hucie Warszawa zostałem przyjęty na etat starszego inspektora produkcji i dali mi pokój w hotelu niedaleko od pracy. Po około miesiącu dyr. Jerlicz (Kresowianin z Wołynia) mianował mnie na kierownika zakładu mechanicznego powierzając mi nadzór nad uruchomianymi obiektami oraz na głównego inspektora do spraw awaryjnych. Podlegały mi: zakład obróbki wiórowej, konstrukcji stalowych, odlewni żeliwa, metali kolorowych nowo uruchamiana tlenownia oraz modelarnia, w której wykonywano modele dla potrzeb odlewni. Głównym zadaniem moich zakładów była produkcja nietypowych urządzeń dla potrzeb powstającej huty i innych hut.

Po zapoznaniu się przeze mnie w potrzebach hutnictwa i nowo powstającej Huty Warszawa zorientowałem się, że całe hutnictwo odczuwa bardzo dotkliwie brak łańcuchów Galla o dużych podziałkach, a całe zapotrzebowanie było pokrywane importem z Austrii. Postanowiłem więc w zakładach których byłem kierownikiem uruchomić produkcję tych łańcuchów. Mniej więcej w przeciągu pół roku produkcja łańcuchów Galla została uruchomiona w ilości zabezpieczającej potrzeby hutnictwa, a tym samym został wstrzymany import. Sądzę, że

to też się przyczyniło do tego, że wkrótce otrzymałem mieszkanie i mogłem sprowadzić rodzinę do Warszawy. Mieszkanie dostałem ładne, lokalizacja dobra, a jedynym jego mankamentem było to, że mój dojazd do Huty był męczący bo potrafił trwać nawet 1,5 godziny.

Po dwóch latach pobytu w Warszawie miałem pracę i mieszkanie. Co prawda nie była to praca na uczelni, ale praca która dawała jakieś zadowolenie, bo mogłem wraz z pracującą żoną utrzymać rodzinę. Poważnym mankamentem były bardzo dalekie dojazdy bo z Mokotowa na Bielany. Z tego właśnie powodu zacząłem myśleć o zmianie pracy.

Z pomocą przyszedł mi znajomy ze Lwowa dyrektor Zjednoczenia Przemysłu Terenowego i zaproponował mi stanowisko Głównego Inżyniera w Stołecznych Zakładach Budowy Maszyn i Konstrukcji Lekkich. Po krótkim namyśle oczywiście propozycję przyjąłem.

Po przeanalizowaniu sytuacji w tym nowym miejscu pracy doszedłem do wniosku, że zakłady nie posiadają żadnej właściwie produkcji która gwarantowałaby stabilność finansową i kadrową zakładów. Po różnych przemysleniach postanowiłem, że zakłady muszą mieć dwie grupy produkowanych asortymentów. Jedną grupę powinny stanowić wyroby w dużych ilościach, czyli produkcja masowa, ale oczywiście nie może to być zła jakość, natomiast drugą grupę będą stanowić wyroby zaawansowane technicznie i będą one decydować o wizerunku fabryki. Realizując tę myśl postanowiłem zwiększyć produkcję hydroforów i rozwinąć oraz wzbogacić o nowe rozwiązania produkcję pomp dla przemysłu chemicznego.

Oprócz wymienionej produkcji wytypowałem jeden zakład który był wyposażony w dość dobry uniwersalny park maszynowy przewidując, że w tym zakładzie będzie produkowana jednostkowa, ale dobra produkcja. Były tam wykonywane bardzo drogie duże szafy pancerne dla banków, olbrzymie tynkarki, automaty do szlarafii i części oprzyrządowania do automatów.

Po rozeznaniu potrzeb krajowych opracowałem własną konstrukcję pomp i po wykonaniu prototypów uruchomiłem produkcję pomp kamionkowych z żeliwa krzemowego, chromowego i epoksydowego. Wyeliminowałem prawie całkowicie import zabezpieczając potrzeby przemysłu chemicznego w 95%. Pompy kamionkowe znalazły uznanie w szwajcarskiej firmie zajmującej się produkcją i handlem pomp dla przemysłu chemicznego. Była to firma Chemii Pumpenbau w Zoffingen. Następnym produktem, którym chciałem się zająć były pompy dozujące, ale Metalexport i nasze ministerstwo zabroniły, bo ta specjalizacja była przyznana Bułgarii.

Produkcja hydroforów i pomp zapewniła zakładom dobrą egzystencję, a załodze premie. Ja miałem powody do zadowolenia, ponieważ wiedza zdobyta na Politechnice Wrocławskiej okazała się przydatna, chociaż jeszcze nie wiedziałem jak znaleźć zatrudnienie na Politechnice – zdając sobie sprawę, że to już nie będzie Politechnika Wrocławska.

Prawdziwym wyzwaniem dla mnie okazała się propozycja Jerzego Szamotuńskiego – Kierownika Zakładu Pomiarów Ciśnień w Głównym Urzędzie Miar i Wag. Pan Jerzy Szamotuński zaproponował mi żebym zajął się opracowaniem konstrukcji i uruchomił produkcję wzorców ciśnienia czyli manometrów obciążnikowo-tłokowych.

Ówczesna sytuacja była taka, że Główny Urząd Miar i liczne zakłady produkcyjne miały duże trudności w uzyskiwaniu wzorców ciśnienia i aparatury towarzyszącej z powodu, że można ją było dostać tylko z importu z tak zwanej strefy dolarowej. Przedstawiając mi tę propozycję inż. Jerzy Szamotuński dodał, że jest w pełni świadom z trudności zadania i że chyba z tego powodu nikt w Polsce nie próbował zająć się produkcją manometrów obciążnikowo-tłokowych. Sądził jednak, obserwując produkcję zakładów w których pełniłem funkcję dyrektora technicznego, że powinienem się podjąć tej produkcji tak bardzo potrzebnych przyrządów pomiarowych.

Po przemyśleniu propozycji postanowiłem zająć się tymi wyrobami, skoro tych wzorców nikt w Polsce jeszcze nie produkował oznaczało to, że istnieje jakiś element nowatorski i uważałem, że mogą istnieć w tych wyrobach zagadnienia wymagające badań, a to już było blisko doktoratu.

Przed uruchomieniem produkcji gruntownie zapoznałem się z istniejącymi wzorcami ciśnienia i postanowiłem, że najpierw muszę wybrać w oparciu o własną dokumentację kilka podstawowych prototypów różniących się rozwiązaniem zespołów pomiarowych oraz zespołów wytwarzających robocze ciśnienie. Po przeprowadzeniu licznych badań i pomiarów ustaliłem wstępnie temat pracy doktorskiej i razem z prof. Jerzym Stańdą sformułowaliśmy temat doktoratu oraz opracowaliśmy konspekt. Byłem przekonany że prof. Stańda zostanie promotorem mojego doktoratu, ale stało się inaczej. Jego przełożony prof. Mieczysław Sasiadek uznał, że on będzie moim promotorem. Uzasadnił to ważnością zagadnienia jakim były wzorce ciśnienia.

Teraz kiedy już miałem otwarty przewód doktorski ściśle związany z produkcją i rozwojem wzorców ciśnienia oraz aparatury towarzyszącej, ze zdwojoną energią zabrałem się do pracy nad uruchomieniem tak potrzebnej produkcji, a poza tym dla uzyskania niebawem potwierdzenia słuszności moich rozwiązań, których bardzo dużo już tkwiło w moim doktoracie.

Po przeprowadzeniu szeregu badań ustaliłem, że najwyższe dokładności można osiągnąć przy tłokach prostych, natomiast została otwarta sprawa sposobu obciążenia tłoka i wprowadzenia jego w ruch wirowy. Odrębnym istotnym problemem okazała się ciecz robocza, a zwłaszcza odkształcenia w cieczy ze względu na duże ciśnienie i ewentualny ich wpływ na

lepkość. Dalej analizując ten problem nasunęło się pytanie, czy zmiana lepkości może mieć wpływ na klasę dokładności. Zbudowałem prosty lepkościomierz i przebadalem kilka cieczy, które były planowane jako ciecze robocze do wzorców ciśnienia. Badania przeprowadziłem w różnych kombinacjach czasowych i ciśnieniowych oraz temperaturowych. Badania i studia literaturowe pomogły w doborze cieczy roboczych. Po akceptacji wzorców ciśnienia przez Główny Urząd Miar, wspólnie z kierownikiem Zakładu Pomiarów Ciśnień opracowaliśmy typoszereg pomiarowy manometrów obciążnikowo-tłokowych. Opracowany typoszereg wzorców ciśnienia w oparciu o górną wartość mierzonego ciśnienia przedstawiał się następująco MT06, Mt6, MT25, MT250, MT600, MT1000, Mt1500, Mt2500 MPa. Polska z importera wzorców ciśnienia stała się eksporterem.

Równocześnie z uruchomieniem produkcji manometrów obciążnikowo-tłokowych opracowałem typoszereg i wytyczne dla mojego biura konstrukcyjnego unifikując komory rozdzielające dla ciśnień do 60 MPa. O zaufaniu jakim darzył mnie Główny Urząd Miar i Wag może świadczyć zamówienie jakie złożył w mojej fabryce na opracowanie i wykonanie stacji rewizyjnych typu RMT60. Doceniając nasze doświadczenie i zdobytą wiedzę w dziedzinie budowy manometrów obciążnikowo-tłokowych, Główny Urząd Miar upoważnił nas do wystawiania świadectw legalizacyjnych na nasze wzorce ciśnień.

Uważam, że dużym sukcesem było zainteresowanie się Holendrów naszą produkcją wzorców ciśnienia. Aby mieć pewność odnośnie jakości, Instytut prof. Michelsa przy fizyce Uniwersytetu w Amsterdamie zaprosił mnie na 24 dni do siebie celem przeprowadzenia u nich wzorcowania wybranych przez nich typów ciśnienia. Niezależnie od mojego wzorcowania opracowaną przeze mnie metodą dla Holandii, najważniejsze były przeprowadzone badania za pomocą wzorca rtęciowego. Ten wzorzec rtęciowy był ich dumą, zresztą słusznie, bo drugiego takiego nigdzie nie było. Głównym elementem takiego wzorca był słup rtęci wysokości 30m. Uznane przez Instytut prof. Michelsa, że jakość naszych wyrobów odpowiada w pełni ich wymogom, stało się podstawą do eksportu naszych wzorców do wszystkich krajów Europy Zachodniej.

W międzyczasie obroniłem z wyróżnieniem swoją pracę doktorską.

Mając opanowaną produkcję zająłem się badaniami nad problemem ruchu wirowego tłoka pomiarowego, udoskonaleniem jego konstrukcji oraz doбором materiałów i współpracujących ze sobą zespołów tłok cylinder. Innym też ważnym zagadnieniem było doskonalenie uszczelnień w prasach manometrycznych oraz poszczególnych elementów pracujących pod odpowiednim ciśnieniem.

W ciągu trzech lat Polska z dużego importera, i to ze strefy dolarowej, stała się jednym z największych eksporterów tej bardzo opłacalnej aparatury- wzorców do pomiarów i do wytwarzania ciśnienia.

Po opracowaniu wzorców ciśnienia korzystając z wolnych mocy produkcyjnych zająłem się uruchomieniem produkcji przyrządów do pomiaru twardości i tłoczliwości blach. Po uruchomieniu tej produkcji zaangażowałem się w badania nad budową uniwersalnego przyrządu do pomiarów twardości i dalej uniwersalnego wzorca twardości. Nawiązałem kontakt w tej sprawie z prof. Markiem Zakrzewskim oraz prof. Zawadzkim z Politechniki Wrocławskiej. Prace te poza wstępnym etapem nie doczekały się dalszego biegu z różnych powodów, a między innymi dlatego, że prof. Zawadzki odszedł.

Wysoka pozycja Stołecznych Zakładów Budowy Maszyn w produkcji wzorców ciśnienia wymusiła konieczność śledzenia postępu w dziedzinie pomiarów ciśnienia, a szczególnie w budowie wzorców ciśnienia. Uznaliśmy, że najprostszym i ogólnie uznanym rozwiązaniem jest obecność na specjalistycznych konferencjach i sympozjach. Niewątpliwie dużym moim sukcesem była w roku 1981 konferencja w Sewr pod Paryżem. Organizatorem tej konferencji była Francuska Akademia Nauk. Na konferencji tej ze strony polskiej uczestniczyli: prof. Roland Wiśniewski i ja. Po skończonej konferencji Prezes Francuskiej Akademii Nauk prof. H-Wu zaprosił nas obu tj. prof. Wiśniewskiego i mnie do swojego domu na kolację. W czasie kolacji prof. H-Wu zaproponował nam współpracę z Francuską Akademią Nauk z sekcją pomiarów ciśnienia. Stan wojenny spowodował przerwę, a po skończonym stanie wojennym nie udało nam się tej współpracy reaktywować.

Dla wyjaśnienia pewnych zaszłości pragnę dodać, że po uzyskaniu doktoratu pracowałem przez około półtora roku w Politechnice Warszawskiej w Instytucie Fizyki, ale ponieważ z wykształcenia byłem inżynierem mechanikiem, po roku przeniosłem się na Wydział Inżynierii Ochrony Środowiska. Pracując w Instytucie Fizyki w Zakładzie Wysokich Ciśnień, w ramach seminariów prowadziłem prelekcję z manometrów obciążnikowo-tłokowych. Tematyka ta spotkała się z dużym zainteresowaniem kierownika prof. Rolanda Wiśniewskiego i pracowników Instytutu. Prelekcje te zainicjowały zajęcie się tą tematyką przez Zakład Wysokich Ciśnień w Instytucie Fizyki. Pracując na Wydziale Inżynierii Ochrony Środowiska i nadal współpracując z Zakładem Wysokich Ciśnień, korzystałem z możliwości zajmowania się nadal tematyką naukowo-badawczą związaną z manometrami obciążnikowo-tłokowymi. Efektem mojej współpracy są liczne rozwiązania różnego rodzaju wzorców ciśnień i mierników ciśnień. Dla przykładu podaję tylko kilka tematów będących efektem tej współpracy:

1. Opracowanie wpływu drgań na niezawodność aparatury kontrolno-pomiarowej w przemyśle chemicznym. Ja byłem kierownikiem tematu.
2. Opracowanie założeń konstrukcyjnych i technologicznych budowy kolumnie rtęciowej o wysokości 65 m i ciśnień dla 500MPa wzorca ciśnień (a to było częściowo wzorowanie się na kolumnie u prof. Michelsa).
3. Udział w budowie skomputeryzowanego wzorcowego manometru obciążnikowo-tłokowego dla ciśnienia do 1000 MPa.
4. Udział w opracowaniu i budowie komórki rtęciowej do obserwacji przejścia fazowego Hg, jako wzorca dla określenia punktów stałych w skali ciśnienia.
5. Pneumatyczna metoda pomiaru małych otworów cylindrycznych. Samodzielne opracowanie naukowe, konstrukcyjne i wykonanie.

Kończąc ten opis mojej drogi życiowej pragnę podkreślić, że moje osiągnięcia były możliwe dzięki wiedzy jaką zdobyłem w Politechnice Wrocławskiej, a częściowo wcześniej we Lwowskiej. Musze też powiedzieć że moje osiągnięcia były przez moich przełożonych w pełni zauważone i zarazem sownie nagradzane. Byłem nagrodzony licznymi odznaczeniami resortowymi i państwowymi z Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski włącznie. Otrzymałem dużo nagród pieniężnych SIMPu, Ministra Szkolnictwa Wyższego, Przewodniczącego Komitetu Nauki Techniki i od Dyrekcji mojego Zjednoczenia. Jako posiadacz licznych patentów od 1955 roku do stanu wojennego pełniłem funkcję prezesa wynalazków polskich, byłem redaktorem naczelnym czasopisma Zarządzanie i Edukacja. Jako weteran walk o niepodległość dosłużyłem się stopnia kapitana.

Analizując moje osiągnięcia w pracy mogę powiedzieć, że w moim przypadku program nauczania w Politechnice Wrocławskiej był wspaniale opracowany, mając na uwadze problemy natury naukowo-produkcyjnej jakie spotykałem w różnych miejscach pracy. Tylko w jednym przypadku przydało mi się wykształcenie specjalistyczne a były to pompy. Tu chyłę czoło przed kierownikiem Katedry Maszyn Wodnych, prof. Bogusławem Gładysiewiczem i jego bardzo dobrymi asystentami mgr inż. Włodzimierzem Łubienieckim i Edwardem Suchardą. Późniejszy dr Łubieniecki wyemigrował do Kanady i został dyrektorem Zespołu Elektrowni Wodnych.

Przestawiając moje wspomnienia ze studiów na Politechnice Wrocławskiej i późniejsze koleje losu, myślę że dla całokształtu spraw należy wspomnieć przynajmniej choćby w formie mniej poważnej, anegdotycznej o egzaminach i egzaminatorach. Jak powszechnie wiadomo, studia to są wykłady, ćwiczenia, laboratoria, praktyki ale jest jedna sprawa do której każdy student zmierza i która zaprzęta ciągle jego uwagę- są to egzaminy. Aby tę lukę wypełnić postanowiłem na zakończenie moich wspomnień ze studiów na Politechnice Wrocławskiej wspomnieć o egzaminach i egzaminatorach.

1. Jest rok 1946, chyba początek wiosny. Prof. Jan Nikliborc ogłosił, że będzie egzamin z fizyki. Na egzaminie usiedliśmy razem z Jasiem Łopuszańskim. Po krótkim czasie zorientowaliśmy się, że w zadaniu jest błąd. Po namyśle doszliśmy do wniosku, że aby to zadanie rozwinąć to z powodu tkwiącego w nim błędu my musimy też zrobić błąd. Jak się wyraził później Jasio Łopuszański, był to mądry błąd. Tak postąpiliśmy i zadanie zostało rozwiązane. Nie baliśmy się jakiś represji, bo fizykę mieliśmy dobrze opanowaną. Prof. Nikliborc dał nam tylko ocenę dostateczną i mimo tego, że w zasadzie wymagał od swoich asystentów lepszej oceny to dał nam spokój i nie wymagał egzaminu dla poprawy stopnia. Właściwie w jego oczach przestępstwem było to, że niektórzy „emigrowali” na egzamin do Torunia do prof. Turczyńskiego aby tam zdać egzamin z fizyki. Prof. Jan Nikliborc mawiał o takich studentach, że to są „emigranci”. Jan Łopuszański, ten z którym razem pisaliśmy fizykę, studiował później fizykę i został mimo dostatecznej oceny z egzaminu rzeczywistym członkiem Polskiej Akademii Nauk. Zajmował się powszechnym ciążeniem. Namawiał mnie wielokrotnie bym studiował fizykę. Sądzę, że gdybym pracował w Politechnice to przypuszczalnie skończyłbym dodatkowo fizykę, bo lubiłem tę dyscyplinę.
2. Jeden z moich kolegów próbował kilka razy zdać mechanikę u prof. Bodaszewskiego i niestety prof. Bodaszewski za każdym razem go oblewał. Za którymś razem jak student się zorientował, że znowu zostanie oblany rozplakał się. Szlochając zaczął prosić pana profesora żeby miał litość nad rodziną zdającego studenta i jego dziećmi. Prof. Bodaszewski po krótkim namyśle wziął indeks tego studenta i wpisał: „ze względu na żonę i dzieci dostatecznie”.
3. Wydarzeniem samym w sobie był egzamin u prof. Ochęduszki, który sam opracowywał zadania egzaminacyjne i można było mieć podręczniki ściągę i wszelkie pomoce. Jeżeli zdający egzamin nie był przygotowany, to te pomoce były dla niego bezużyteczne. Po

uzyskaniu pozytywnej oceny z egzaminu pisemnego student miał prawo przystąpić trzy razy do egzaminu ustnego. Jeżeli mu się nie powiodło mógł od nowa przystąpić do egzaminu pisemnego i wszystko zaczynało się od nowa. Pozytywne oceny z egzaminu pisemnego średnio otrzymywało 30% i tyle samo z egzaminu ustnego.

4. Zapytałem się kiedyś prof. Hugona Steinhausa, czy orientuje się ilu studentów i jaki ich procent zdaje u niego egzamin. Odpowiedział mi, że ta sprawa w ogóle go nie interesuje. Ci którzy matematykę umieją to zdają, a ci którzy nie umieją – nie zdają. Ostatnie osiem lat spotykaliśmy się z Hugonem Steinhausem w Iwoniczu na wczasach. Hugon Steinhaus mawiał, że tam czuje się wiatr Lwowa.
5. Po skończonym przygotowaniu się do egzaminów uważałem, że już wszystko umiem i razem z moim współlokatorem Antkiem przy ulicy Kotsisa wybrałem się na obiad do restauracji „Cichy Kącik”. Antek był biedny, a ponieważ ja byłem asystentem i miałem pieniądze, byłem fundatorem. Z powodu gorąca wybraliśmy sobie stolik blisko drzwi. Po obejrzeniu się po lokalu zauważyliśmy, że po prawej ręce w końcu lokalu pod ścianą, na wprost drzwi, stolik zajęła ładna studentka medycyny. Po krótkiej chwili przyszła żona pana profesora u którego na drugi dzień miałem zdawać egzamin, siadła przy stoliku po drugiej stronie Sali, czyli naprzeciwko nas, ale trochę bliżej tej studentki. Po paru minutach po przyjściu żony pana profesora przyszedł sam profesor, ukloniliśmy się mu nisko, a pan profesor krokiem tanecznym skierował się wprost do studentki. Mijając swoją żonę wyczuł jej wzrok, zatrzymując się zrobił skręt w lewo i chciał pocałować żonę, ale pani profesorowa wstając wyszła z lokalu bez słów, a pan profesor drepzcząc wyszedł również. Studentka została sama i po pewnym czasie też wyszła. Na drugi dzień zgłosiłem się o umówionej godzinie na egzamin. Adiunkt ostrzegł mnie żeby nie szedł bo pan profesor jest bardzo wściekły. Ja odpowiedziałem, że pójdę ponieważ jestem umówiony. Mimo tego ostrzeżenia wszedłem do pokoju i wręczając profesorowi indeks powiedziałem, że jestem umówiony na egzamin. Pan profesor wziął mój indeks i wyrzucił go do pokoju adiunkta, a następnie podniesionym głosem oświadczył mi, że nie będzie mnie pytał bo ja zamiast się uczyć włączę się po knajpach. Wziąłem swój indeks i poszedłem. Po paru dnach spotkał mnie adiunkt tego profesora i powiedział żeby mu dał indeks jeśli go mam przy sobie. Akurat miałem i po chwili dostałem indeks z powrotem z wpisaną oceną.
6. Inną przygodę miałem z prof. Kurdzielem z matematyki stosowanej i teorii liczb zespolonych. Zaplanowałem sobie, że egzamin ten będę zdawał dopiero po wakacjach. Bo

nie czułem się jeszcze na siłach aby przystąpić do egzaminu. Idąc więc z politechniki do domu z zamiarem spakowania się i wyjazdu do rodziców, między gmachem hutniczym a chemicznym, nagle przede mną stanął prof. Kurdziel. Wiadomym było, że profesor potrafi złapać studenta na ulicy i zaciągnąć go na egzamin. Ja właśnie znalazłem się w takiej sytuacji, ale nie mając gdzie się schować zostałem zmuszony przez prof. Kurdziela aby na drugi dzień zgłosić się na egzamin. Po mało przespanej nocy zgłosiłem się i zdałem.

Na zakończenie chciałem się jeszcze odnieść do programów nauczania ponieważ to właśnie one decydują o ukształtowaniu wiedzy i sylwetki przyszłego inżyniera.

Trzeba przyznać, że aktualnie panująca sytuacja w dziedzinie nauk technicznych charakteryzuje się dużą dynamiką rozwoju.

Różnego rodzaju specjalności nowości technologiczne czy wyroby opatrzone etykietą „nowość” po pięciu latach studiów często już idą w zapomnienie jako przestarzałe. W związku z tym na kierunkach uczelni technicznych spoczywa olbrzymia odpowiedzialność za odpowiednie opracowanie programów nauczania dla studentów wyższych uczelni technicznych. Wielokrotnie dyskutowaliśmy z prof. Tadeuszem Kaczorkiem jakie powinny być ogólne wytyczne dla nauczania młodzieży studiów technicznych, aby wyposażyć ich w wiedzę umożliwiającą im dostosowanie się do powszechnie panującego dużego tempa postępu w nauce, powstawanie nowych technologii i pojawiających się w małych odstępach czasowych nowych wyrobów.

W czasie naszych dyskusji doszliśmy do wspólnego wniosku, że jedyna wiedza dająca możliwość elastycznego dostosowania się przyszłego absolwenta studiów nauk technicznych jest zawarta w naukach podstawowych. Tu należy na pierwszym miejscu postawić na nauczanie fizyki matematyki, w następnej kolejności wymienić należy inżynierię materiałową, teorię mechanizmów nauki o wytrzymałości materiałów i szeroką wiedzę związaną z nośnikami energii. Odnosząc wnioski wysnute z moich dyskusji z panem prof. Kaczorkiem do moich długoletnich nabytych doświadczeń, kształtuje się pozytywny wizerunek moich studiów. W świetle mojego programu nauczania gdzie było trzydzieści jeden przedmiotów ogólnotechnicznych, a siedem specjalistycznych w zestawieniu z dużą ilością zmieniających się technologii i produkcji wielu różnorodnych wyrobów, można śmiało wysunąć wniosek, że ten program nauczania zdał egzamin i może być przykładem dla opracowania nowych programów.

Na zakończenie pragnę dodać, że uważam to za wielki zaszczyt iż dana mi była możliwość – szansa tchnąć życie w potężne mury naszej uczelni i wzbudzić w niej nieustające rozwijające się źródło wiedzy.